

CLARK RUSSELL.

## W ODMĘTACH OCEANU.

3 Przypomniał mi się dom mój i matka stanęła mi przed oczyma. Widziałem ją, jak siedzi przy kominku, pełna trwogi nasłuchuje, a za każdym silniejszym uderzeniem wiatru w okna zrywa się, spodziewając się, że to ja wracam.

Całą siłą woli panowałem nad sobą i starałem sobie wytłómaczyć, że przecież ktoś z załogi „Joanny” musiał się uratować i powie mojej matce, że nie zginąłem wraz z innymi.

Po dziesięciu minutach wynurzyła się z ciemności znowu postać mego towarzysza, a przybycie jego przerwało moje smutne rozmyślenia.

— Mój ojciec pochwalił wszystko, cośmy dotychczas zrobili — opowiadał, gdy stanął znowu przy sterze. — Musimy się starać koniecznie wypłynąć na pełne morze. Tak radzi ojciec. Dopiero kiedy oddalimy się tak daleko od lądu, że go już widać nie będzie, możemy okręt zatrzymać.

— Najlepiej byłoby, gdyby kapitan sam zjawił się na pokładzie i objął kierownictwo statku — przerwałem mu. — Czy istotnie tak bardzo jest chory?

— Jak tylko minęliśmy Cuxhaven, zapadł tak ciężko na reumatyzm stawowy, że nie może ani chodzić, ani stać. Nawet poruszać się jest mu bardzo trudno.

— Dlaczegoż u licha nie wylądowaliście gdzie i dlaczego nie wezwano doktora?

— Ojciec spodziewał się, że to wnet przejdzie i chciał poczekać, aż przybędziemy do Swansey, gdzie mieliśmy zawinąć, zanim ruszymy w podróż do Porto Allegro. Gdyby mu się do tego czasu nie polepszyło, chciał innemu kapitanowi oddać dowództwo „Aniny”, a sam byłby z mną pozostał w Swansey.

— Kto prowadził statek, kiedy zawinęliście do naszej zatoki?

— Stolarz okrętowy, który był zarazem drugim sternikiem.

— Jakżeż mógł kapitan pozwolić na to, aby w tak niebezpiecznym czasie zawijać do naszej zatoki, która dla was była wobec wichru tak groźną?

— Nie miał innego wyboru. Był zupełnie zależny od naszego stolarza Damma. Załoga nie chciała pozostać na pełnym morzu i domagała się stanowczo, abyśmy, zanim burza się rozszalała, zawinęli do jakiegoś portu. Dlatego też stolarz skierował statek do pierwszej przystani, jaka ukazała się na horyzoncie. Ludzi naszych nie byliśmy pewni. Zaraz po wyjeździe z Cuxhaven zaczęli się burzyć i ciągle narzekali po kątach.

— Przypuszczam, że tych kilku biedaków, którzy z pokładu statku skoczyli do naszej łodzi, stanowiło tylko część waszej załogi?

— Tak. Stolarz i pięciu majtków uciekło ze statku naszą łodzią, skoro tylko spostrzegli, że okrętowi grozi rozbicie o skały.

— Czy udało im się dostać do brzegu?

— Tego nie wiem. Podli tchórze! — zaklął młody człowiek, ściskając pięści. — Nie byli to Duńczycy — żaden Duńczyk nie postąpiłby tak podle.

— Czy pan jesteś Duńczykiem?

— Mój ojciec pochodzi z Danii. Ja właściwie więcej przebywałem w Anglii niż w Danii, gdyż matka moja była Angielką.

— Przypuszczam właśnie coś podobnego — odpowiedziałem. — Czy pan jest marynarzem, tak jak ojciec?

— Marynarzem? Ależ nie! Przecież ja... jestem... dziewczyną.

— Dziewczyną! — zawołałem zdziwiony.

Oto miałem nareszcie rozwiązanie zagadki, dlaczego mój towarzysz miał taką wysmukłą, drobną postać i świeży głos.

Z uśmiechem objaśniła mnie:

— Jak jestem na statku, noszę zwykle ubranie męskie. Przez to jednak chyba znowu tak bardzo na chłopca nie wyglądam.

Potężna fala, która w tej chwili przewaliła się przez pokład „Aniny”, przerwała naszą rozmowę. Wiatr zapędził nas już daleko na pełne morze i statek był tutaj — podobnie jak w przystani — igra szką łamiących się fal. Dotychczas bowiem, mimo, iż wiatr zmienił swój kierunek, nie był on w stanie pokonać rozkołysanych fal morskich, które, przepierane wiatrem w przeciwną stronę, wzdymały się w górę, jak walczące olbrzymy.

Ponieważ nie potrzebowaliśmy się już obawiać

uderzenia o skały, najlepiej byłoby dla nas, gdybyśmy byli mogli okręt zatrzymać. Nie śmieliśmy jednak wobec bardzo niedostatecznych środków, jakimi rozporządzaliśmy, próbować tego niebezpiecznego eksperymentu. Wystarczyła bowiem jedna wielka fala, aby okręt zatopić, albo też nas i wszystko, co się znajdowało na pokładzie, zmieść w głębie morskie. Staraliśmy się tylko o to, aby szybko pędzący statek utrzymać w odpowiednim kierunku kursu.

Dłuższy czas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Kiedy wreszcie wydobyłem zegarek, aby przy słabym świetle kompasu zobaczyć, która godzina, zapytała mnie moja towarzysza, czy już bardzo późno.

— Dochodzi pierwsza.

— A więc już jest po północy.

— Niechże pani zejdzie do kajuty i położy się trochę, aby wypocząć. Ze sterem dam sobie przecież sam radę.

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogłabym teraz spać. Jeśli jednak pan przez chwilę obejdzie się bez mej pomocy, zajrzę do ojca i przygotuję dla nas coś, czemyśmy się pokrzepić mogli.

Pozostałem więc znowu sam przy sterze, wpatrzony w kompas, od igielki którego nie odwracałem wzroku. Ku memu zdziwieniu spostrzegłem po chwili, że kierunek naszej jazdy zmienił się cokolwiek na południowo-zachodni, z czego wniosłem, że wiatr obrócił się bardziej ku północy.

Nagle uczulem, że przód statku podnosi się prostopadle w górę, jakby podrywała go jakaś wielka fala. Puściłem sprchy sterowego koła, które zaczęło się szybko obracać. Sam zaś uczulem, że siła jakaś tajemnicza odrzuca mnie silnie na bok. Upadłem i na chwilę straciłem przytomność.

Przebiegające po mnie zimne jak lód fale wody przywróciły mi przytomność. Podniosłem się powoli, ledwie mogąc ustać pod naporem burzy i spojrzałem wokoło. Przy sterze po przez potoki deszczu zamajaczyła mi postać dziewczęca. Z wysiłkiem, pełzając na czworakach, zbliżyłem się do niej.

Kiedy mnie ujrzała, krzyknęła radośnie:

— Chwała Bogu, że pan jest! Obawiałam się, że pana fale zmyły z pokładu. Czy pan raniony?

— Nie — odpowiedziałem. — Ale co się stało?

— To, czego sobie pan tak bardzo życzył. Okręt sam się zatrzymał.

I tak było w istocie. Statek sam zwrócił się bokiem do wiatru i stanął. Elastycznie wznosił się teraz i opadał na wzburzonych jeszcze falach.

— Pomoże mi pan teraz umocować ster? — zawołało dziewczę. — Teraz „Anina” na razie nie potrzebuje. Potrafi się już sama utrzymać na falach i oprzeć burzy.

— Czy bez tylnych żagli potrafi zachować równowagę? — zauważyłem.

— Poprzednio przez nas zaciągnięty żagiel porwał wiatr na strzepy. Nie potrzebujemy wobec tego z tyłu statku rozpinać żadnych żagli.

— Czy pani widziała się już z ojcem?

— Owszem. Zyczy sobie, abyśmy ciągle jeszcze starali się oddalić od brzegów. Chciałabym teraz przede wszystkim zbadać, ile wody nabrała „Anina”. To bowiem jest bardzo ważne. Musi mi pan przy mierzeniu pomóc, gdyż sama nie potrafię przy takiej pogodzie.

Młoda dziewczyna, mówiła jak urodzony marynarz. Zdumienie moje nie miało granic.

— Prawie uwierzyć nie mogę, że pani jest kobietą! — zawołałem. — Odwaga pani i przytomność umysłu mogłyby zawstydzić wielu mężczyzn, panno... panno...

— Helga Nilsen — uzupełniła swobodnie i zaśmiała się. — Mój ojciec nazywa się Piotr Nilsen, a pan?

— Hugo Tregarthen.

— Wśród smutnych okoliczności dostał się pan na pokład naszego statku. Oby Bóg dał — aby pan prędko wrócił do swoich, a niech życie nagrodzi panu, co pan dla nas zrobił i robi...

Głos jej drżał z lekka. Następnie jednak zmieniła wyraz twarzy, jakby chciała zapomnieć, w jak ciężkim położeniu się znajdujemy i zawołała:

— Ale teraz proszę ze mną do kajuty. Przygotowałam tam małą przekąskę. Po tem podnieceniu i trudach, jakie pan przeszedł w ostatnich kilku godzinach, należy się panu posiłek i wzmocnienie. Przedtem jednak musimy zgruntować stan wody w statku.

Macierzyński ton głosu, jakim do mnie przemawiała moja młoda towarzysza, mimowoli wywołał uśmiech na moje usta. Udaliśmy się na drugi koniec statku, gdzie Helga w kajucie marynarzy przeprowadziła krótką rewizję. Po chwili ukazała się, niosąc pion olwiany oraz zapaloną lampę.

Pomiary nasze okazały, że w dolnej części statku wody zebrало się bardzo dużo. Nie zaniepokoiło nas to na razie. Wiedzieliśmy, że wiele wody nalało się górą w czasie burzy, gdy fale przewalały się przez pokład.

Młoda moja towarzysza poprowadziła mnie następnie do górnej kajuty pokładowej. Był to dosyć duży pokój, o trzech oknach, oświetlony niepewnym światłem zwieszającej się z sufitu małej lampki. Obejrzałem się pobieżnie dookoła. Przedewszystkiem zaś skorzystałem ze światła, aby nareszcie przypatrzeć się dokładnie młodej dziewczynie.

Gwałtownym ruchem rzuciła Helga Nilsen mokrą czapkę na stół i zwróciła się ku mnie. Stałiśmy naprzeciw siebie, patrząc sobie prosto w oczy. I ona, rzecz zupełnie naturalna, była ciekawa, zobaczyć w pełnym świetle twarz swego nowego przy- musowego towarzysza.

Teraz, kiedy ujrzałem ją w świetle lampy, dziwiłem się sam sobie, jak mogłem bodaj przez chwilę brać tę młodą dziewczynę za chłopca. Wprawdzie swoje gęste blond włosy miała krótko przycięte tak, jak je zwykle chłopcy noszą, ale jej wielkie, ciemno-niebieskie oczy, łagodne zaokrąglenie brody, drobne, różowe usta, wskazywały jasno na swą kobiecą przynależność. A jakie to było piękne! Wyglądała trochę blado, w tem jednak nie było nic dziwnego.

— Zaprowadzę pana zaraz do mojego ojca — rzekła — przedtem jednak musi się pan posilić.

Posłusznie usiadłem na jakiejś skrzyni i przyglądałem się skrycie mej towarzysze, pełen podziwu. Ona tymczasem otworzyła szafkę ścienną, wydobyla z niej kawałek suchara i flaszkę wina i postawiła na stole.

— Chlebem nie mogę panu służyć — rzekła. — Ostatni bochenek wczoraj zjedzono. — Przygotuję jednak panu coś do picia.

Zdjęła z wiszącej na ścianie pułeczki szklankę, napełniła ją do połowy wodą, z specjalnego aparatu do filtrowania, który wisiał na środkowym filarze i dołala do pełna wina.

— Proszę, niech pani pierwsza się napije — poprosiłem, kiedy podała mi szklankę.

Wprawdzie potrząsnęła przecząco głową, ale prosiłem tak długo, aż zgodziła się i wypila pierwsza kilka łyków. Ja nie dałem się wcale prosić i dokończywszy pierwszą szklankę, poprawiłem wnet drugą. Wielkie zmęczenie, które dopiero teraz w całej pełni zacząłem odczuwać, odebrało mi zupełnie apetyt. Mimo to zmusiłem się do przekknięcia kilku kasków. Także Helda zabrała się do jedzenia. Siedzieliśmy więc naprzeciw siebie, jedząc w milczeniu i ukradkiem przyglądając się sobie.

Po kilku godzinach, które spędziliśmy na pokładzie, przemoczeni do nitki falami morskimi, smagani po twarzy wiatrem i gradem, wydało nam się te kilka chwil, spędzonych w zacisznej kajucie, wspólnym wypoczynkiem. Wycie wichru i huk morza dochodził stłumiony do wnętrza i gdyby nie silne wstrząśnienia okrętu i dziki taniec, jaki wyprawiała lampa, zawieszona nad naszymi głowami u belki sufitowej, moglibyśmy sądzić, że znajdujemy się na stałym lądzie. Tak zacisznie i spokojnie było tutaj.

— Przypuszczam, że „Anina” potrafi się utrzymać — podjęła Helga po chwili milczenia.

— I ja tak sądzę — przyświadczyłem. — Dałbym jednak wiele za to, gdybyśmy mogli mieć na pokładzie tych kilku ludzi, którzy skoczyli do łodzi ratunkowej. Obawiam się, że my sami nie poradzimy... Ba! gdyby pani była mężczyzną...

Młoda dziewczyna roześmiała się.

— Tyle siły, co mężczyzna, nie mam, to prawda. Ale dzielnie pracować potrafię. Może przejdziemy teraz do mego ojca?

Przez małe drzwi w głębi poprowadziła mnie w głąb statku, do drugiego pokoju, który zazwyczaj służył jako pokój służbowy. Obecnie mieszkał tam kapitan. Widocznie chciał znajdować się jak najbliżej załogi i pokładu.

Kiedy weszliśmy, siedział, oparty o poduszki na wązkim łóżku okrętowym. Obok stał stół, pokryty książkami, mapami i przyrządami żeglarskimi. Mały pokójk rozświetlała jasno lampa, która była przy-krubowana do stołu.

Kapitan Nilsen był bardzo oryginalną osobistością. Długie, czarne włosy spadały mu aż na ramiona. Czarny zarost i takież wąsy podnosiły prawie przezroczystą bladość twarzy. Z pod krzaczystych brwi spoglądało na mnie badawczo dwoje ciemnych, głęboko osadzonych oczu. Sprawiał wrażenie ciężko chorego.

— Ojcie — rzekła Helga Nilsen — oto pan Tregarthen, ten, który dowodził łodzią ratunkową i naraził swe życie, aby nas uratować.

Z wielkim wysiłkiem wyciągnął kapitan do mnie swą wychudzoną, zimną jak lód rękę. W milczeniu